



# Daleko od Wersalu

**T**a śmierć musiała nadejść – co jednak zaskakuje, to reakcja polskiej klasy politycznej. Bo w zabójstwie Marka Rosiaka w łódzkim biurze PiS szokujące jest nie to, że do niego doszło – jakkolwiek cynicznie by to brzmiało – ale to, że klasa polityczna zareagowała tak, jakby już od dawna była na to gotowa. Politycy przeszli nad tą śmiercią do porządku dziennego, czyli wrócili do wzajemnych oskarżeń, jakby chodziło o kolejne ujawnione taśmy czy jeszcze jedną wypowiedź Palikota lub Kurskiego.

Nie było nawet chwili wytchnienia. Zwolennicy PiS już mieli gotową odpowiedź, już znali winnych, przeciwnicy Jarosława Kaczyńskiego w sekundzie przeszli do kontrataku. Rytualne – bo cóż w takiej chwili można powiedzieć – wezwania premiera do otrzeźwienia brzmiały na tym tle cokolwiek naiwne. Prezydencki pomysł spotkania przeciw agresji skończył się kolejną awanturą.

## Byliśmy zieloną wyspą

Cynik powiedziałby jeszcze: cóż w tym dziwnego, statystycznie rzecz biorąc, ktoś kogoś musiał zabić. Wystarczy rozejrzeć się w czasie i w przestrzeni, by dojść do wniosku, że polityczne zabójstwo nie jest czymś niezwykłym. W Polsce XX wiek był wręcz naznaczony politycznymi mordami – aż do 1989 r. To wręcz zakrawało na sukces, że w ostatnich 20 latach Polska przeszła bardzo ostre reformy ekonomiczne i polityczne z olbrzymimi kosztami społecznymi, a jednak udało się III RP nie stracić tej niewinności, jaką była wolność od politycznych zabójstw. Nikt też nie zginął w czasie protestów społecznych w wyniku akcji policji. Większość rozwiniętych krajów Europy nie jest wolna od takich właśnie przypadków. Pod tym względem byliśmy naprawdę zieloną wyspą.

Oczywiście to nie jest tak, że w III RP nie ginęli politycy czy wysocy urzędnicy państwowi – byli premier PRL Piotr Jaroszewicz wraz z małżonką zostali zamordowani

**Kolejne bariery łamano konsekwentnie – pieniądze w polityce były obecne od zawsze, potem pojawił się seks, wreszcie przyszła kolej na przemoc.**

ANDRZEJ BRZEZIECKI

w niewyjaśnionych okolicznościach w 1992 r., w 1999 r. zastrzelono komendanta Marka Papełę, a w 2001 r. zamordowany został b. minister sportu Jacek Dębski. Nie były to jednak morderstwa, których motywem była nienawiść polityczna.

A przecież zabójstwa na tym tle zdarzają się i w starych, dobrze funkcjonujących demokracjach. Z rąk zamachowców ginęli prezydenci Stanów Zjednoczonych, premierzy Włoch, a nawet spokojnej Szwecji. Zabójstwo jest jedną z metod politycznych stosowanych na wschód od Polski – tam nie ma krajów „niewinnych”, polityków zabijano na Białorusi, na Ukrainie i w Rosji – tylko w październiku zginął od strzału w głowę główny ekonomista Gazpromu, a w Czeczenii doszło do ataku na parlament.

Różnica między Zachodem a Wschodem jest jednak zasadnicza – na Zachodzie morderstwa są odstępstwami od normy, często dokonywane są przez szaleńca, na Wschodzie są wpisane w system i dokonywane przez wyrachowanych ludzi systemu.

## Śmierć w końcu nadeszła

W przypadku Łodzi zabójca nie targnął się na życie znanego polityka – deklarując, że ludzi

w łódzkim biurze PiS chciał zabić niejako w zastępstwie. Jakikolwiek by były motywy napastnika, wiele zależy od tego, czy uznamy, że to zabójstwo było nieszczęśliwym zdarzeniem – w co chciałoby się wierzyć – czy nowym elementem, ale zarazem logiczną konsekwencją walki politycznej. Do tej drugiej interpretacji przekonuje nas Prawo i Sprawiedliwość głosami Jarosława Kaczyńskiego czy Witolda Waszczykowskiego, kandydata na prezydenta Łodzi, który z pełną powagą zauważył, że „zaczęło się zabijanie opozycji”.

Głosy polityków PiS, czy choćby sympatyzującego z nimi Tomasza Sakiewicza z „Gazety Polskiej”, który natychmiast zrzucił odpowiedzialność na „reżimowe” media i dodał, że on swoim dziennikarzom już dawno kazał się ubezpieczyć na życie, brzmią tak, jakby w tym wszystkim w najmniejszym stopniu chodziło o nieszczęście ofiar i ich rodzin, a w większym o oskarżenie politycznych przeciwników i ustawienie się samemu w roli ofiary.

Żadnej chwili refleksji nie było – jeszcze po śmierci Jana Pawła II, jeszcze po tragedii w Smoleńsku próbowano zaklinać rzeczywistość, deklarować, że polska polityka się zmieni, że przyszedł moment otrzeźwienia. Tym razem już nikt niczego nawet nie udawał. Śmierć wprzęgnięto w polityczną walkę – jakby tylko na nią czekano.

Czy rację mają ci, którzy przekonują, że dopiero od 2005 r. mamy do czynienia z niesłychanie brutalną odsłoną wojny polsko-polskiej? Prawdą jest, że w Polsce Michnika, Mazowieckiego, Geremka i Kwaśniewskiego za poglądy polityczne nikogo nie zabiło. Z drugiej strony – czy był to szczęśliwy traf, czy wielkość tamtej epoki – nie sposób ocenić.

## Pieniądze, seks i przemoc

III RP była emanacją solidarnościowej idei *non violence*. Jej twórcom towarzyszyła awersja do państwowego aparatu przemocy, której tak wiele zaznali w komunizmie, oraz strach przed długim cieniem politycznej agresji



z czasów II RP. To dlatego fakt wysłania przez rząd Tadeusza Mazowieckiego jednego wozu opancerzonego przeciwko blokującym drogę rolnikom był takim wstrząsem.

Jednak i tamta Polska nie była tak niewinna i wspaniała, jak by się mogło zdawać. Parlamentarzyści dostają listy z pogroźkami od samego początku III RP, pisma takie otrzymują także inni urzędnicy państwowi i osoby publiczne. Profesor Leon Kieres pokazywał kiedyś korespondencję, którą otrzymał po zajęciu się przez IPN sprawą mordu w Jedwabnem – były to listy pełne nienawiści i złorzeczeń. Weźmy też taką oto wypowiedź prymasa Józefa Glempa z 1989 r. na temat zajść w klasztorze karmelitanek: po kuriozalnym najściu klasztoru przez kilku działaczy żydowskich, którzy zresztą zostali szybko przepędzeni, głowa polskiego Kościoła stwierdziła, że „oddział” Żydów napadł na klasztor. „Nie doszło do zabójstwa sióstr lub zniszczenia klasztoru, bo zostali zatrzymani” – mówił kard. Glemp z jasnogórskiej ambo-ny. Insynuacja chęci zabójstwa była wyniesieniem języka publicznej debaty na dość specyficzny poziom, i to na samym początku polskiej przygody z demokracją.

Od zdrajców i targowiczów wymyślano sobie publicznie. Hasła: „Buzek, ty zmoro – zginiesz jak Aldo Moro”, „Znajdzie się kij na Balcerowicza ryj” albo „Balcerowicz – Mengele polskiej gospodarki” – naprawdę krzyczano na polskich ulicach w trakcie wielotyśięcznych demonstracji z udziałem liderów politycznych. To Andrzej Lepper, do niedawna jeden z ważniejszych polityków w Polsce, nazywał Balcerowicza idiotą, debilem, szubrawcem, z którym, gdyby mógł, to zrobiłby, „mówiąc po męsku – porządek jednego dnia”. Zrobić z kimś po męsku porządek, czy to nie sugeruje zapowiedzi przemocy? A czy palenie w 1993 r. kukły Lecha Wałęsy (w obecności m.in. braci Kaczyńskich) nie było symbolicznym aktem zabójstwa?

Przemoc i groźby stosowano także jako narzędzie w polityce. W książce Piotra Zaremby „O jednym takim...” znajdziemy fragment nt. życia codziennego Porozumienia Centrum w latach 90.: „Kaczyński jest zmuszony coraz głośniej krzyknąć na swoich kolegów, podczas jednej z kłótni pan Tadek wyciąga pistolet i grozi nim Anuszowi”. „Pan Tadek” to były zapaśnik i zaufany kierowca Kaczyńskiego, Andrzej Anusz – jeden z polityków PC.

Mieliśmy lincz na dyrektorze szczecińskiej „Odry”, mieliśmy jeszcze Leszka Bubla z jego refrenem „Żydy i Michniki, won do Ameryki”, mieliśmy nazwy partii umieszczane na grobie Chrystusa. Książka „Mowa nienawiści” Sergiusza Kowalskiego i Magdaleny Tulli analizuje różne strony podsycania antysemityzmu przez część polskich mediów, o sporym nakładzie. Roi się tam od przykładów insynuacji i oskarżeń o „obcość”. Przeanalizowawszy setki tekstów prasowych, autorzy doszli do wniosku, że „najważniejsze rozróżnienie to s w ó j – o b c y, naszość–cudzość. Obcość, cudzość, inność ma wyłącznie negatywne konotacje, wszystko, co nie jest nasze, jest po pierwsze dziwne, po drugie niewłaściwe, po trzecie zagrożające”.

A jeśli istnieje zagrożenie (nieraz prezentowane jako wręcz zagrożenie egzystencji narodu), to istnieje potrzeba obrony, radykalnej, bo na miarę zagrożenia. Mamy więc wreszcie bardzo liczne przypadki przemocy fizycznej na tle nienawiści rasowej oraz przypadki nietolerancji wobec mniejszości. Wystarczy wziąć do ręki „Brunatną księgę” Marcina Kornaka ze stowarzyszenia Nigdy Więcej, która opisuje kilka tysięcy incydentów o charakterze rasistowskim i ksenofobicznym w ostatnim ćwierćwieczu. Od niewybrednych okrzyków, aktów pobicia, po kilkadziesiąt mordów, których motywem było „oczyszczanie

miasta z elementów niepożądanych”. Zabijano Romów, arabskich studentów, czasem wystarczył „nie taki” wygląd. W samym tylko 1995 r. śmierć poniosło siedem osób.

Takie zjawiska przez lata dawało się spychać na margines, gdzieś w rejony subkultury. Choć jednocześnie Unii Polityki Realnej, która potrafiła mieć swoich ludzi w Sejmie i samorządach, zdarzało się korzystać z pomocy ludzi Narodowego Odrodzenia Polski jako ochroniarzy partyjnych kongresów. Taka „ochrona” przy okazji wzniesła burdy. Teraz zaś, gdy kwestie narodowościowe stają się problemem politycznym w Europie, a w Polsce jeszcze niedawno animatorzy ruchów nacjonalistycznych byli u władzy, to jest oczywiste, że nienawiść i przemoc przeniknęły do głównego nurtu życia publicznego. Zaiste rację miał Andrzej Lepper, gdy zapowiedział, że „Wersal się skończył”.

Nadejście IV RP wraz z jej brutalizmem retorycznym nie było więc nowością pod względem jakościowym, ale na pewno ilościowym. Bariery łamano konsekwentnie – pieniądze w polityce były obecne od zawsze, wróciła inwigilacja dziennikarzy, pojawił się jeszcze seks (w Samoobronie, ale też w postaci uwodzicielskiego agenta Tomka), wreszcie przyszła kolej na przemoc.

Żeby było jasne – brali w tym udział wszyscy. Także ci, którzy mówili o dorznięciu watahy, odstrzeleniu Kaczyńskiego czy poszukiwaniu gałęzi do powieszenia Palikota.

## Nie dajmy się zwariować

Dziś łatwo napisać, że po tym wydarzeniu już nic w polskiej polityce nie będzie jak dawniej. Nic bardziej mylnego – otóż wszystko będzie po staremu. Historycy czasem lubią pokazywać jakiś punkt w dziejach, od którego zaczyna się równia pochyła ku katastrofie. Po pierwsze, łatwo takie punkty się wyznacza *ex post*. Po drugie, zabójstwo w Łodzi nie jest takim punktem – mimo że niektórzy zapewne by chcieli.

Ostatnie 20 lat mogłyby stać pod znakiem polityków o gołębih sercach, a do tragedii i tak by doszło. Łatwo wyliczać przykłady agresji słownej ostatnich lat i dowodzić, że np. wypowiedź Lecha Wałęsy o puszczaniu aferzystów w skarpetkach czy jeźdzeniu po kraju z siekierą, albo odmawianie człowieczeństwa przestępcom przez obecnego premiera – były wezwaniem do radykalnych zachowań, bo ktoś mógłby je zinterpretować jako zachętę do samosądów. Byłoby to jednak nadużycie. Polityka jest zajęciem brutalnym, wywołuje emocje, a tam, gdzie są emocje – są polemiki i czasem obelgi. Nie ma więc sensu wskazywanie kto jest bardziej winny tej śmierci. Można mówić o jakiejś roli polityków w tym nieszczęściu, ale nie o ich winie.

Mrzonką okazały się nadzieje, że demokracja parlamentarna wyprze brutalne sposoby wyrażania poglądów. Sprawiedliwie jednak trzeba odnotować, że polski parlament wolny jest od częstych przecież w świecie bójk między posłami – a takie zachowania, relacjonowane przez media, też przecież legitymizują przemoc.

Dlatego może powinniśmy się cieszyć, że w wolnej Polsce przez 20 lat nie dochodziło do zabójstw politycznych – a przecież ludzie, którzy do samego końca PRL byli gotowi zabić (i zabijali), nie wyparowali. Powinniśmy się też cieszyć, że w Polsce, jak do tej pory, nie było zamachów terrorystycznych – a wystawiamy się na arenie międzynarodowej w roli przybocznego USA, jak mało kto. I wreszcie powinniśmy zrozumieć, że śmierć oraz przemoc w polityce zdarzała się i zdarzać się będzie. Po prostu przestaliśmy być zieloną wyspą. ◆